



Jamie McGuire

Autorka „Pięknej katastrofy”

Beautiful
SACRIFICE

Maddox Brothers #3

PIĘKNE POŚWIĘCENIE

ALBATROS

Tytuł oryginału:
BEAUTIFUL SACRIFICE

Copyright © Jamie McGuire 2015
Published by agreement with Jamie McGuire LLC
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2024

Polish translation copyright © Janusz Ochab 2024

Redakcja: Piotr Królak

Projekt graficzny okładki i serii: Kasia Mieszka / Wydawnictwo Albatros

Zdjęcie na okładce: Freepik

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
www.wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Rozdział 1

GWAR GŁOSÓW ZBYT WIELU ludzi przebywających w małym pomieszczeniu przypominał do złudzenia syk ognia: wysokie i niskie dźwięki zlewające się w całość; jednostajne, znajome brzęczenie, które przybierało na sile, gdy się do niego zbliżałeś. Już od pięciu lat pracowałam jako kelnerka dla Chucka i Phaedry Nilesów w The Bucksaw Café, a codzienne obsługiwanie tylu niecierpliwych, głodnych ludzi sprawiało, że czasami naprawdę miałam ochotę podpalić to miejsce. A jednak wciąż tu wracałam, choć nie ze względu na tłum gości, którzy schodzili się na lunch. Przyciągały mnie kojący pomruk rozmów, ciepło kuchni i słodka wolność od mostów, które za sobą spaliłam.

– Fałyn! Do kurwy nędzy! – jęknął Chuck, starając się nie pocić do zupy.

Wyciągnął rękę i zamieszał zupę w głębokim garze. Rzuciłam mu czystą szmatkę.

– Dlaczego w Kolorado jest tak gorąco? – narzekał. – Przeprowadziłem się tutaj, bo jestem gruby. Grubi ludzie nie lubią upałów.

– To może nie powinieneś zarabiać na życie, pracując przy piecu – rzuciłam ze złośliwym uśmiechem.

Taca, którą wzięłam w ręce, wydawała się ciężka, ale nie tak

ciężka jak kiedyś. Teraz mogłam unieść nawet sześć pełnych talerzy, jeśli było to konieczne. Odwróciłam się i otworzyłam tyłkiem drzwi wahadłowe.

– Zwalniam cię! – warknął Chuck. Wytarł swoją łysą głowę białą bawełnianą szmatką i rzucił ją na środek stołu roboczego.

– Odchodzę! – odparłam.

– To nie jest śmieszne! – Odchylił się do tyłu, odsuwając twarz od żaru bijącego z kuchenki.

Odwróciłam się do jadalni i przystanęłam na moment w drzwiach, by ogarnąć spojrzeniem wszystkie dwadzieścia dwa stoliki i dwanaście stołków barowych, zajętych teraz przez przedstawicieli różnych zawodów, rodziny, turystów i okolicznych mieszkańców. Phaedra twierdziła nawet, że przy stoliku trzynastym siedzą sławna pisarka i jej asystentka. Przechyliłam się lekko, by zrównoważyć ciężar talerzy, i puściłam oko do Kirby, dziękując jej, że podsunęła mi stojak na tacę.

– Dzięki, kochana – rzuciłam, zsuwając pierwszy talerz.

Postawiłam go przed Donem, moim pierwszym stałym klientem, który dawał najwyższe napiwki w mieście. Poprawił na nosie okulary o grubych szklach, rozsiadł się wygodnie i zdjął swój nieodłączny kapelusz. Jego zielonkawa marynarka była już nieco znoszona, podobnie jak koszula i krawat, które nosił codziennie. Kiedy ruch był niewielki, słuchałam, jak mówił o Jezusie i o tym, jak bardzo tęskni za żoną.

Długi, ciemny kucyk Kirby kołysał się miarowo, gdy sprzątała ze stołu przy oknach. Oparła miedniczkę pełną brudnych naczyń o biodro i ruszyła do kuchni, po drodze puszczać do mnie oko. Zniknęła tylko na moment, by oddać brudne talerze i filiżanki Hectorowi, który zajmował się zmywaniem, a potem wróciła na podwyższenie dla hostessy. Jej usta, naturalnie pociemniałe od wina, uniosły się lekko w kącikach, gdy podmuch wiatru wleciał do sali przez otwarte szklane drzwi, podparte wielkim kryształem górskim, jednym z setek, które Chuck uzbierał na przestrzeni lat.

Kirby przywitała grupkę czterech mężczyzn, którzy weszli do lokalu, gdy obsługiwałam Dona.

– Zechciałbyś rozciąć ten stek, przystojniaku? – spytałam.

Don nie potrzebował menu. Zawsze zamawiał to samo – sałatę polaną obficie sosem ranczerskim, pikle w panierce, średnio wysmażony stek z rostbefu i sernik Phaedry – i chciał, by podawano to wszystko jednocześnie.

Wsunął krawat między guziki koszuli, sięgnął drżącymi rękami po sztucę i przeciął soczyste mięso na swoim talerzu. Podniósł wzrok i skinął.

Zostawiłam go na moment, modlącego się nad zamówionym daniem, by przynieść dzbanek ze słodką herbatą słoneczną. Kiedy wróciłam i podniosłam jego kubek, trzymałam dzbanek bokiem, by wraz z jasnobrazowym płynem wysypało się dużo kostek lodu.

Don upił łyk i westchnął z zadowoleniem.

– Powiem ci, Falyn, że uwielbiam, kiedy Phaedra robi herbatę słoneczną.

Jego podbródek łączył się z dolną częścią gardła luźnym płatem cienkiej skóry, a twarz i dłonie były upstrzone plamami wątrobowymi. Don był wdowcem, a po śmierci Mary Ann wyraźnie schudł.

Uśmiechnęłam się do niego przelotnie.

– Wiem, że to uwielbiasz. Zajrzę do ciebie za chwilę.

– Bo jesteś najlepsza! – zawołał za mną.

Kirby zaprowadziła grupkę facetów do mojego ostatniego wolnego stolika. Wszyscy – prócz jednego – pokryci byli sadzą zmieszaną z potem. Ten jedyny czysty siedł z tyłu, miał długie, świeżo umyte włosy, które niemal wpadały mu do oczu. Trzej pozostali wyglądali na zmęczonych, ale i zadowolonych po długiej, wyczerpującej zmianie.

Tylko turyści przyglądali się ze zdumieniem tym obszarpancom. Miejscowi doskonale wiedzieli, kim są i dlaczego się tu pojawili. Ich zakurzone buty i trzy jasnoniebieskie kaski z symbolem

Departamentu Rolnictwa, które ułożyli sobie na kolanach, pozwalały domyślić się bez trudu, czym się zajmują – byli strażakami leśnymi, prawdopodobnie z oddziału alpejskiego w Estes Park.

Pożary lasu były w tym roku wyjątkowo dokuczliwe; wydawało się, że Służba Leśna ściągnęła w te okolice załogi z wszystkich stanów, które nimi dysponowały, nawet tak odległych jak Wyoming czy Dakota Południowa. W Colorado Springs od tygodni było mgliście. Dym z pożarów na północy zamieniał popołudniowe słońce w jasnoczerwoną kulę ognia. Nie widzieliśmy gwiazd od mojej ostatniej wypłaty.

Powitałam strażaków uprzejmą miną.

– Coś do picia?

– Masz bardzo ładne włosy – zauważył jeden z mężczyzn.

Odpowiedziałam tylko uniesieniem brwi.

– Zamknij się i zamawiaj, Zeke. Zaraz pewnie znowu nas wezwą.

– Wal się, Taylor – mruknął Zeke, marszcząc brwi, po czym odwrócił się do mnie. – Przynieś mu jakieś jedzenie, co? Robi się gderliwy, kiedy jest głodny.

– To mogę zrobić – odparłam, już zirytowana ich zachowaniem.

Taylor zerknął na mnie, a ja zapatrzyłam się przez moment w jego ciepłe brązowe tęczówki. W niecałą sekundę znalazłam w tych oczach coś znajomego. Potem mrugnął i odwrócił wzrok.

Choć mężczyźni w przyprószonych popiołem butach, którzy pojawiali się regularnie w naszym miasteczku, byli zwykle przystojni, uroczy i zawsze porządnie umięśnieni, należało ich podziwiać jedynie z daleka i trzymać na dystans. Żadna szanująca się tutejsza dziewczyna nie chciała się wiązać z którymkolwiek z tych fascynujących, dzielnych i opalonych młodzieńców – z dwóch zasadniczych powodów. Pojawiali się tu tylko na kilka tygodni, góra miesięcy, i znikali bez śladu, porzucając swoje wybranki, które leczyły potem złamane serca albo zostawały samotnymi matkami.

Widziałam to wiele razy, nie tylko w przypadku strażaków leśnych, ale i stacjonujących w pobliżu lotników. Ojciec nazywał tych mężczyzn włóczęgami, a Springs barem pełnym młodych dziewcząt zdesperowanych do tego stopnia, że były gotowe pokochać kogoś, kto wcale nie zamierzał zostać tu na dłużej.

Nie należałam do tego grona, chociaż moi rodzice twierdzili, że jestem najlepiej wykształconą dziewczyną w Colorado Springs.

– Zaczniemy od napojów. – Staralam się mówić uprzejmym tonem i myśleć jedynie o całkiem przyzwoitych napiwkach, jakie zwykle zostawiali strażacy.

– Co chcesz, Trex? – spytał Zeke, zwracając się do tego czystego.

Trex spojrzał na mnie spod wilgotnych kosmyków wrokiem, który wydawał się całkiem wyczuty z emocji.

– Tylko wodę.

Zeke odłożył swoje menu.

– Ja też.

Taylor spojrzał na mnie ponownie; białka jego oczu niemal świeciły na tle opalanej i usmolonej twarzy. Ciepły brąz tęczywów pasował do rozwichrzonych włosów. Choć jego spojrzenie wydawało się łagodne i dobrotliwe, przedramiona miał pokryte licznymi tatuażami. Wyglądał tak, jakby przeżył już dość, by zasłużyć sobie na każdy z nich.

– Masz słodką herbatę? – spytał Taylor.

– Tak. Słoneczną. Może być?

Skinął głową, po czym spojrzał na mężczyznę siedzącego naprzeciwko.

– A co ty chcesz, Dalton?

– Nie mają tu cherry coke – naburmuszył się ten. Podniósł na mnie wzrok. – Dlaczego w całym cholernym stanie Kolorado nie ma cherry coke?

Taylor skrzyżował ręce na stole, mięśnie jego przedramion przesunęły się i naprężyły pod pokrytą tatuażami skórą.

– Ja się z tym pogodziłem. Ty też możesz odpuścić, stary.

– Mogę sama ci ją zrobić – zaproponowałam.

Dalton rzucił menu na stół.

– Przynieś mi po prostu wodę – burknął. – Taka domowa cola to nie to samo.

Zabrałam ich karty i nachyliłam się do Daltona.

– Masz rację. Moja jest lepsza.

Odchodząc, słyszałam, jak dwaj z nich chichoczą niczym mali chłopcy.

– Nieźle – rzucił jeden.

Po drodze zatrzymałam się przy stole Dona.

– Wszystko w porządku?

– Mhm. – Skinął głową, przeżuując swój stek. Już prawie skończył. Wszystkie pozostałe talerze, prócz tego z sernikiem, były całkiem puste.

Poklepałam go po kościstym ramieniu i stanęłam za barem. Napełniłam dwa plastikowe kubki wodą z lodem i jeden herbatą słoneczną, a potem zaczęłam robić cherry coke dla Daltona.

Phaedra przeszła przez wahadłowe drzwi i zmarszczyła brwi na widok rodziny stojącej obok podwyższenia Kirby.

– Mamy kolejkę? – spytała, wycierając dłonie w ścierkę do naczyń, którą obwiązała się w pasie niczym fartuchem.

Urodziła się i wychowała w Colorado Springs. Poznali się z Chuckiem na koncercie. Ona była autentyczną hipiską, on próbował się do niej dopasować. Brali udział w wiecach pokojowych i manifestacjach antywojennych, a teraz byli właścicielami najpopularniejszej restauracji w centrum miasta. Serwis Urbanspoon uznał The Bucksaw Café za najlepsze miejsce na lunch, ale Phaedra czuła się osobiście dotknięta, gdy widziała klientów czekających w kolejce.

– Nie możemy mieć świetnej obsługi i jednocześnie żadnych kolejek. To dobrze, że nie brakuje nam gości – powiedziałam, mieszając mój specjalny syrop wiśniowy z colą.

Phaedra rozczesywała swoje szpakowate włosy na środku i ściągała z tyłu w kucyk; jej pomarszczona oliwkowa skóra kładła się ciężko na powiekach. Była bardzo drobną kobietą, ale gdy ktoś ją rozżłościł, potrafiła błyskawicznie zamienić się w niedźwiedzia. Głosiła pokój i miłość, ale nie tolerowała bylejakości.

– Wkrótce może nam ich zabraknąć, jeśli będziemy ludzi wkurzać – odparła, opuszczając wzrok. Przeszła szybko do wejścia, by przeprosić oczekującą rodzinę i zapewnić, że za chwilę znajdzie się dla nich miejsce.

Klienci przy stoliku dwudziestym właśnie poprosili o rachunek. Phaedra od razu do nich popędziła, podziękowała im grzecznie i uprzątnęła naczynia, po czym wytarła starannie blat. Potem pokazała Kirby, by posadziła tam oczekującą rodzinę.

Postawiłam napoje na tacy, a potem przeniosłam je przez salę. Strażacy wciąż przeglądali menu. Westchnęłam ciężko w duchu, bo to oznaczało, że jeszcze się nie zdecydowali.

– Potrzebujecie jeszcze trochę czasu? – spytałam, rozdając napoje.

– Prosiłem o wodę – powiedział Dalton ze zmarszczonymi brwiami, podnosząc swoją szklankę z colą.

– Spróbuj tylko. Jeśli nie będzie ci smakować, przyniosę wodę.

Upił łyk i otworzył szeroko oczy.

– Ona nie żartowała, Taylor. To naprawdę jest lepsze od prawdziwej cherry coke.

Taylor podniósł na mnie wzrok.

– W takim razie ja też poproszę.

– Jasne. Lunch?

– Wszyscy zjemy panini z indykiem na ostro – oznajmił.

– Wszyscy? – spytałam z powątpiewaniem.

– Wszyscy – powtórzył Taylor, podając mi zalaminowaną kartę.

– W porządku. Za chwilę przyniosę ci colę – powiedziałam i

odeszłam sprawdzić, co dzieje się przy innych stolikach.

Dziesiątki głosów w wypełnionej po brzegi restauracji odbijały się od okien i wracały prosto do mnie, gdy mieszałam następną colę z syropem wiśniowym. Kirby przeszła za blat, skrzypiąc butami o podłogę wyłożoną pomarańczowymi i białymi płytkami. Phaedra lubiła przypadkowość – zabawne portrety, ozdóbki, niedopasowane kolory. Wszystko to tworzyło eklektyczną mieszankę, właśnie taką jak sama właścicielka restauracji.

– Nie ma za co – powiedziała Kirby, wkładając koszulę w spódnice.

– Chodzi o podstawkę pod tacę? Już ci dziękowałam.

– Mówię o tym stadku seksownych strażaków, których posadziłam w twojej sekcji.

Kirby miała zaledwie dziewiętnaście lat i wciąż wyglądała raczej na dziewczynkę niż kobietę. Od drugiej klasy liceum spotykała się z Gunnarem Mottem, więc z uporem godnym lepszej sprawy to mnie próbowała swatać z każdym w miarę przystojnym facetem, który pojawiał się w restauracji.

– Nie – odpowiedziałam krótko. – Nie interesuje mnie żaden z nich, więc nie próbuj nic kombinować. Poza tym to nie są zwykli strażacy, tylko strażacy leśni.

– A to jakaś różnica?

– Tak, i to duża. Przede wszystkim gaszą tylko pożary w terenie. Muszą chodzić po wiele kilometrów z ciężkimi plecakami i sprzętem, pracują siedem dni w tygodniu, dwadzieścia cztery godziny na dobę. Podróżują tam, gdzie akurat wybuchł pożar, przepilowują powalone drzewa i kopią rowy przeciwpożarowe.

Kirby wzruszyła tylko ramionami, jakby nie zrobiło to na niej żadnego wrażenia.

– Nic nie kombinuj, mówię poważnie – ostrzegłam ją.

– Czemu nie? Wszyscy to prawdziwe ciacha, więc masz ogromne szanse.

– Czemu nie? Bo jesteś w tym kiepska. Nie interesuje cię

nawet, czy są w moim typie. Podsyłasz mi różnych facetów, żebyś sama mogła z nimi kręcić, chociażby pośrednio. Pamiętasz, jak ostatnio próbowałaś mnie swatać? Przez cały wieczór musiałam się użerać z tym obleśnym turystą.

– Był cholernie seksowny. – Westchnęła, fantazjując na oczach Boga i wszystkich dookoła.

– Był nudny. Ciągłe gadał tylko o sobie i o siłowni... i o sobie.

Puściła moje uwagi mimo uszu.

– Masz dwadzieścia cztery lata. Chyba jesteś w stanie znieść godzinę nudnej gadaniny w zamian za trzy godziny fantastycznego seksu.

– Faj. Faj, nie. Przestań. – Zmarszczyłam nos i pokręciłam głową, mimowolnie wyobrażając sobie sprośne rozmowy zawierające takie słowa jak „powtórzenia” i „proteiny”. Postawiłam kubek Taylora na tacy.

– Faj, zamówienie! – zawołał Chuck z kuchni.

Wciąż trzymając w dłoni tacę, przesunęłam się do półki wyciętej w ścianie oddzielającej bar od kuchni i zobaczyłam, że zamówienie dla stolika trzeciego już na niej czeka. Lampy grzewcze oblewały ciepłym światłem moje dłonie, gdy przekładałam talerze na tacę, a potem niosłam je do stolika. Pisarka i jej asystentka zupełnie nie zwracały na mnie uwagi, gdy kładłam przed nimi sałatę z wołowiną i fetą i kanapkę z kurczakiem.

– Wszystko w porządku? – spytałam.

Pisarka skinęła tylko głową, nie odrywając spojrzenia od rozmówczyni. Zaniósłam ostatni kubek cherry coke do stolika strażaków leśnych, a gdy już odchodziłam, jeden z nich złapał mnie za rękę. Odwróciłam głowę i obrzuciłam gniewnym spojrzeniem mężczyznę, który ośmielił się mnie dotknąć.

Taylor skrzywił się z zażenowaniem, widząc moją reakcję.

– Słomka? – Zwolnił uchwyt. – Mogę prosić słomkę? – zapytał pokornie.

Powoli wyjęłam słomkę z kieszeni fartucha i podałam mu. Po-
tem odwróciłam się od nich i sprawdziłam swoje pozostałe stoliki,
jeden po drugim.

Niebawem Don dokończył stek i zostawił na stole dwadzieścia
dolarów, jak zawsze; później pisarka dała dwa razy tyle. Strażacy
leśni natomiast zostawili rachunek zaokrąglony do następnego
dolara.

Miałam ochotę rzucić go na podłogę i podeptać, zdołałam się
jednak powstrzymać.

– Fiuty – mruknęłam pod nosem.

Przez całą resztę popołudnia pracowałam praktycznie bez prze-
rwy, podobnie jak w większość dni, odkąd w aplikacji Urbanspo-
on umieszczono The Bucksaw Café na mapie polecanych lokali.

W ciągu kilku kolejnych godzin obsłużyłam jeszcze niejedną
załogę strażacką, a każda z nich zostawiała przyzwoite napiwki,
podobnie jak klienci z innych stolików. Wciąż jednak zgrzytałam
zębami na myśl o Taylorze, Zeke’u, Daltonie i Trexie.

Pięćdziesiąt jeden centów. Powinnam ich odszukać i rzucić im
te drobniaki w twarz.

Blask latarni oświecał ludzi, którzy mijali naszą restaurację,
zmierzając do dwupoziomowego baru w stylu country western,
położonego cztery budynki dalej. Młode kobiety, z których więk-
szość dopiero niedawno skończyła dwadzieścia jeden lat, space-
rowały w grupach, ubrane w krótkie spódniczki i wysokie buty, i
rozkoszowały się letnią nocą – choć sierpień wcale nie zachęcał do
zrzucania ciepłych ubrań. Większość okolicznych mieszkańców
ochoczo odslaniała ciała, gdy tylko temperatura przekraczała pięć
stopni Celsjusza.

Obróciłam tabliczkę na drzwiach, by z zewnątrz widać było
słowo *Zamknięte*, ale w tym samym momencie aż podskoczyłam
ze strachu, gdy tuż za szybą ukazała się czyjaś twarz. Był to Taylor,
strażnik leśny i skąpiec, który żałował kilku dolarów na napiwek.
Zanim mój umysł zdołał zapanować nad ciałem, zmrużyłam oczy

i wykrzywiłam usta w drwiącym uśmiechu.

Taylor rozłożył ręce.

– Wiem – powiedział, choć ledwie słyszałam go zza szyby. – Przepraszam. Miałem zostawić gotówkę, ale dostaliśmy wezwanie i zapomniałem. Nie powinienem był w ogóle wybierać się do miasta na służbie, ale miałem już dość żarcia w hotelu.

Obmył się już z siedmiu warstw brudu i ledwie go rozpoznałam. Kiedy miał na sobie czyste ubrania, mogłabym właściwie wziąć go za kogoś względnie atrakcyjnego.

– Nie przejmuj się tym – rzuciłam, ruszając w stronę kuchni.

Taylor zastukał w szkło.

– Hej! Proszę pani!

Odwróciłam się powoli i przekrzywiłam głowę, by spojrzeć mu prosto w oczy.

– Proszę pani? – powtórzyłam, niemal wypływając te słowa.

Taylor opuścił ręce i wbił dłonie w kieszenie.

– Otwórz tylko drzwi, żebym mógł dać ci napiwek. Głupio mi teraz.

– I bardzo dobrze! – Odwróciłam się, obruszona, i zobaczyłam przed sobą Phaedrę, Chucka i Kirby, wyraźnie rozbawionych tą sytuacją.

– Możemy ci w czymś pomóc?

Wszyscy nieudolnie skrywali znaczące uśmiešky, a ja przewróciłam tylko oczami i spojrzałam ponownie na Taylora.

– Doceniam to, ale już zamknęliśmy – oznajmiłam.

– Więc dam ci podwójny napiwek, kiedy tu wrócę.

Wzruszyłam obojętnie ramionami.

– Jak sobie chcesz.

– Może mógłbym, no wiesz... zaprosić cię na kolację? Upiec dwie pieczenie na jednym ogniu.

Uniosłam tylko jedną brew.

Taylor rozejrzał się na boki. Przechodnie zwalniali, by przysłuchać się naszej rozmowie.

– Nie, dziękuję – odpowiedziałam w końcu.

Parsknąłem śmiechem.

– Zachowujesz się, jakbym był jakimś śmierzącym dupkiem. To znaczy... może i jestem... trochę. Ale ty... ty jesteś... rozpraszająca.

– Och, a więc to moja wina, że nie zostawiłeś napiwku? – spytałam, wskazując na siebie palcami.

– Cóż... w pewnym sensie – odparł.

Obrzuciłam go wściekłym spojrzeniem.

– Nie jesteś dupkiem. Jesteś pieprzonym szmaciarzem.

Taylor powoli rozchylił usta w szerokim uśmiechu i przycisnął obie dłonie do szyby.

– Teraz to już po prostu musisz się ze mną umówić.

– Wynoś się stąd – odwarknęłam.

– Fajny! – zawołała Phaedra z oburzeniem. – Na miłość boską!

Sięgnęłam w górę i wyłączyłam światło na zewnątrz, zostawiając Taylora w ciemnościach. Obok wciąż czekały na mnie mop i żółte wiaderko, które napełniłam gorącą wodą i płynem do zmywania podłóg tuż przed tym, jak bezczelnie przerwano mi pracę.

Phaedra cmoknęła językiem z dezaprobatą, a potem zajęła moje miejsce przy drzwiach. Przekręciła klucz do oporu i wrzuciła go do kieszeni fartucha. Chuck wrócił do kuchni, a ja i Kirby wzięliśmy się do sprzątania sali jadalnej.

Kirby sięgnęła mopem pod stół numer sześć, kręcąc przy tym głową.

– Pożałujesz tego.

– Wątpię. – Sięgnęłam do fartucha i wyjęłam z kieszeni wielki kawałek gumy do żucia.

Kirby sposepniała. Nie wiedziałam, czy było jej mnie szkoda, czy nie miała już ochoty na dalsze spory.

Moje stare wierne słuchawki jak zawsze wpasowały się doskonale w moje uszy, a kojący głos wokalisty Hinder niósł się przez

kable łączące je z telefonem, gdy przesuwalam mopem po płytach podłogi. Drewniana rączka zwykle pozostawiała w mojej dłoni co najmniej jedną drzazgę co wieczór, ale i tak wołałam to od obowiązkowych lekcji gry na pianinie trzy razy w tygodniu. Poza tym nie musiałam też co kilka godzin meldować, gdzie właśnie jestem, albo wysłuchiwać publicznie surowej reprimendy, nie wspominając już o nauce w szkole medycznej.

Nie cierpiałam chorować i nie cierpiałam przebywać w towarzystwie chorych, nie znosiłam też wszelkich płynów ustrojowych i szczegółów ludzkiej fizjologii. Jedynymi osobami, które uważały, że powinnam zajmować się medycyną, byli moi stuknięci rodzice.

Podczas dwusekundowej przerwy po zakończeniu *The Life* usłyszałam, jak ktoś puka w szklane panele tworzące frontową ścianę The Bucksaw Café. Podniosłam wzrok i na moment zamarałam, a potem pociągnęłam za kable zwisające z moich uszu.

Na chodniku stał doktor William Fairchild, były burmistrz Colorado Springs, i właśnie ponownie stuknął pięścią w szybę, choć patrzyłam prosto na niego.

– O cholera. Cholera... Falyn – syknęła Kirby.

– Widzę go... i ją – dodałam, spoglądając spod przymrużonych powiek na drobną blondynkę, ledwie widoczną zza korpu-lentnej sylwetki doktora.

Phaedra natychmiast przeszła do drzwi frontowych, włożyła klucz do zamka i obróciła go. Uchyliła drzwi, ale nie zaprosiła ludzi stojących na chodniku do środka.

– Witam, doktorze Fairchild. Nie oczekiwaliśmy pana.

Doktor podziękował jej i zdjął swój kowbojski kapelusz, po czym spróbował wejść do lokalu.

– Chciałem tylko porozmawiać z Falyn – oznajmił.

Phaedra przytrzymała drzwi, nie pozwalając mu zrobić następnego kroku.

– Przykro mi, Williamie. Jak już powiedziałam, nie spodziewaliśmy się twoich odwiedzin.

William mrugnął, a potem obejrzał się na żonę.

– Falyn – powiedziała ona, wyglądając zza szerokich ramion męża.

Miała na sobie drogą obcisłą suknię i dopasowane kolorem szare buty. Sądząc po jej stroju i po jego garniturze z krawatem, przyjechali do centrum, by zjeść z kimś kolację.

Wysunęła się zza męża, by spojrzeć mi prosto w twarz.

– Masz czas na krótką rozmowę?

– Nie. – Wydmuchałam duży balon z gumy do żucia, a potem wciągnęłam go z powrotem.

Przez wahadłowe drzwi oddzielające kuchnię od sali wyszedł Chuck; jego dłonie i przedramiona wciąż lśniły wodą i mydlinami.

– Doktorze Fairchild. – Skinął głową. – Blaire.

Blaire nie była zachwycona tym powitaniem.

– Również doktor Fairchild – powiedziała, bezskutecznie siląc się na swobodny ton.

– Bez urazy – zaczął Chuck – ale nie możecie tu przychodzić bez zapowiedzi. Chyba o tym wiecie. Następnym razem zadzwonicie, dobrze? To oszczędziłoby nam wszystkim stresu.

Blaire przez chwilę patrzyła prosto w oczy Chucka. Planowała już zapewne, co zrobi, by pożałował, że ośmielił się jej sprzeciwić.

– Jest tu jakiś młody mężczyzna. Przyszedł do ciebie? – spytał mnie William.

Odłożyłam mop, przeszłam obok Phaedry oraz moich rodziców i zobaczyłam Taylora, który stał z rękami w kieszeniach dżinsów, oparty o róg budynku, tuż za przeszkloną ścianą.

– Co ty tu jeszcze robisz? – spytałam.

Taylor stanął prosto i otworzył usta, by odpowiedzieć.

William wskazał na niego palcem.

– Czy to jeden z tych cholernych dorywczych śmieciarzy z Biura Gospodarowania Ziemią?

Rumieńce na policzkach Williama i nagły błysk w jego oku

napęłniły mnie radością, jaka może być tylko wynikiem mściwej satysfakcji.

Taylor zrobił kilka kroków w naszą stronę, niezrażony gniewną reakcją Williama.

– To pewnie twój tata – stwierdził.

Przygryzłam tylko gumę do żucia, zirytowana tym niespodziewanym spotkaniem.

Blaire odwróciła wzrok, zniesmaczona.

– Falyn, naprawdę, wyglądasz jak krowa, która przeżuwa to, co zjadła za dnia.

Ponownie wydmuchałam wielki balon i wciągnęłam go z powrotem, bo w tej sytuacji była to jedyna odpowiedź, na jaką potrafiłam się zdobyć.

Taylor wyciągnął rękę do Williama i oznajmił z pewnością siebie:

– Taylor Maddox, proszę pana, śmieciarz ze Służby Leśnej Stanów Zjednoczonych.

Dumnie uniósł przy tym głowę, przekonany zapewne, że zrobi to wrażenie na stojącym przed nim nadętym dupku.

Tymczasem William przestąpił tylko z nogi na nogę, rozszerzony, po czym odpowiedział:

– Włóczęga. I to właśnie wtedy, gdy myślałam, że nie możesz już upaść niżej. Chryste, Falyn.

Taylor opuścił rękę i ponownie włożył ją do kieszeni spodni. Zaciśnął zęby, choć wyraźnie miał ochotę odciąć się jakąś ostrą ripostą.

– Bill – ostrzegła Blaire, rozglądając się dokoła i sprawdzając, czy ktoś nie podsłuchuje. – To nie czas ani miejsce na takie rozmowy.

– Wolę określenie „sezonowy” – odezwał się ponownie Taylor. – Pracuję w alpejskiej straży pożarnej, stacjonujemy w Estes Park.

Jego szerokie, umięśnione ramiona podniosły się nieco, gdy

wbił głębiej pięści w kieszenie. Przypuszczałam, że robi to tylko dlatego, by jedna z nich nie spotkała się ze szczęką Williama.

Ten ruch sprawił jednak, że mój ojciec zwrócił uwagę na jego przedramiona.

– Strażak, tak? I chodzący brudnopis, jak widzę.

Taylor zachichotał, zerkając na swoją prawą rękę.

– Mój brat jest tatuażystą.

– Chyba nie chcesz powiedzieć, że ten nierób jest twoim chłopakiem, co? – Jak zwykle ojciec nie tyle pytał, co domagał się określonej odpowiedzi.

Taylor spojrzał na mnie, a ja uśmiechnęłam się szeroko.

– Nie – odparłam. – Nie jest tylko moim chłopakiem. My się naprawdę kochamy. – Podeszłam do Taylora, który wydawał się równie zdumiony jak ojciec, i ucałowałam go delikatnie w kącik ust. – Jutro wieczorem kończę o ósmej. Rozumiem, że wpadniesz po mnie.

Taylor uśmiechnął się szeroko, objął mnie w talii i przyciągnął do siebie.

– Dla ciebie wszystko, mała.

William wykrzywił usta w drwiącym uśmieszku, ale Blaire położyła mu dłoń na piersi, przestrzegając, by zachował milczenie.

– Fajnie, musimy porozmawiać – powiedziała, taksując jednocześnie wzrokiem Taylora i zapisując w pamięci każdy z tatuży na jego rękach oraz każdą z postrzępionych dziur w jego dżinsach.

– Już rozmawialiśmy – odparłam, dziwnie pewna siebie, gdy Taylor tulił mnie do boku. – Jeśli będę miała coś jeszcze do powiedzenia, zadzwonię.

– Nie rozmawiałaś z nami od miesiący. Najwyższy czas to zrobić – przekonywała.

– Dlaczego? – Wzruszyłam ramionami. – Nic się nie zmieniło.

Zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów, po czym spojrzała mi w oczy.

– Zmieniło się bardzo dużo. Wyglądasz okropnie.

Taylor odsunął mnie od siebie, obrzucił spojrzeniem i ostentacyjnie dał do zrozumienia, że nie zgadza się z tą opinią.

Blaire westchnęła ciężko.

– Daliśmy ci czas i przestrzeń, żebyś to sobie przemyślała, ale co za dużo, to niezdrowo. Pora, żebyś wróciła do domu.

– I jego zbliżająca się kampania nie ma z tym nic wspólnego, tak? – Wskazałam głową na ojca, a ten wypiął pierś w geście zgorszenia.

Bezczelność, z jaką udawał święte oburzenie, omal nie wyprowadziła mnie ostatecznie z równowagi.

Wykrzywiłam twarz w gniewnym grymasie.

– Chcę, żebyście stąd sobie poszli. Natychmiast.

William pochylił się do przodu i postąpił o krok, a z jego ruchów biła agresja. Taylor stanął prosto, gotów mnie chronić w razie potrzeby. Zdarzało się już, że to Chuck stawał w mojej obronie podczas sprzeczek z rodzicami, ale w towarzystwie Taylora czułam się jednak inaczej. Prawie mnie nie znał, a mimo to osłaniał mnie własnym ciałem i patrzył wyzywająco na mojego ojca. Dawno już nie czułam się równie bezpieczna.

– Dobranoc państwu doktorostwu – powiedziała Phaedra z charakterystycznym nosowym akcentem z Południa.

Taylor wziął mnie za rękę i przeprowadził obok rodziców do głównej sali restauracji.

Phaedra zamknęła drzwi przed nosem ojca i przekręciła klucz w zamku, nie zważając na Blaire, która śledziła każdy jej ruch. Kiedy Phaedra odwróciła się do nich plecami, rodzice ruszyli w końcu tam, dokąd pierwotnie zamierzali się udać.

Chuck skrzyżował ręce na piersi i wbił wzrok w Taylora.

Strażak spojrzał na mnie z góry, choć mam sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu.

– Zrobiłaś to tylko po to, żeby wkurzyć rodziców, tak?

Wyglądziłam kilkakrotnie mój fartuch, po czym podniosłam

na niego wzrok.

– Tak.

– Nadal chcesz, żebym zabrał cię stąd jutro o ósmej? – spytał.

– Czy to była tylko popisówka?

– Nie ma takiej potrzeby – odpowiedziałam wymijająco.

– Daj spokój... – Taylor wyszczerzył zęby w uśmiechu, pośrodku jego lewego policzka pojawił się głęboki dołeczek. – Odegrałem swoją rolę. Mogłabyś chociaż pozwolić zaprosić się na kolację.

Westchnęłam ciężko, wydmuchując kosmyki grzywki znad oczu.

– Dobra.

Rozwiązałam fartuch, złożyłam go i zabrałam ze sobą.

– Czy ona właśnie się zgodziła? – spytał Taylor.

Chuck zachichotał.

– Lepiej bierz, co dostałeś, i zmykaj stąd, dzieciaku. Nie pamiętam już nawet, kiedy ostatnio zechciała się z kimś umówić.

Wbiegłam po schodach do swojego mieszkania nad restauracją. Po drodze usłyszałam, jak ktoś wypuszcza Taylora i zamyka za nim drzwi. Podeszłam do okna wychodzącego na Tejon Street i obserwowałam, jak Taylor przechodzi na parking do swojego pick-upa.

Z moich ust wyrwało się długie westchnienie. Ten facet był zbyt przystojny i zbyt czarujący, do tego pracował w leśnej straży pożarnej. Już raz wpisałam się do tej statystyki. Nie dopuszczę, by stało się to po raz drugi. Wytrzymam przecież jedną kolację; w pewnym sensie byłam mu to winna, bo pomógł mi wkurzyć rodziców.

Poza tym miałam już spore doświadczenie w odchodzeniu. Jedna kolacja i będzie po wszystkim.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).